Jacek Kubiak[1], *Między kreowaniem sensu a demokracją /świadomość niemiecka lat osiemdziesiątych/*, „Krytyka 1988", nr 30, s. 40–50.
Hasła przedmiotowe: Niemcy po II wojnie światowej, ład pojałtański, stosunek do II wojny światowej w NRD i RFN.

Pewien publicysta z RFN, omawiając na łamach czasopisma „Kommune" /1985, nr 9/ wypowiedzi opozycji polskiej o kwestii niemieckiej, odradzał Polakom nadmierne przywiązywanie wagi do podziału Niemiec, Polacy, przytłoczeni brzemieniem Jałty – utrzymywał – transponują swe dzisiejsze i dawniejsze doświadczenia historyczne na sytuację zachodnich sąsiadów. Poniekąd na przekór oficjalnej apologii *status quo* w stylu Ryszarda Wojny, gotowi są głosić poparcie dla idei zjednoczenia Niemiec, podczas gdy sami zainteresowani są w zasadzie pogodzeni, być może na stałe z istnieniem dwóch państw.

Myślę, że stosunek społeczeństw RFN i NRD do powojennego kształtu ich kraju jest bardziej skomplikowany, niż sugeruje ów publicysta. Ale przecież nie sposób przeoczyć – ukrytej w streszczonym tu wywodzie – przestrogi, by niezależna refleksja nie ulegała pokusie upraszczania spraw niemieckich poprzez proste odwrócenie kanonów rządowej propagandy. Cytowany autor ma zresztą w pewnym sensie rację, gdy do zrozumienia, że nasze niewczesne oświadczenia trafiają w próżnię. Dość bowiem wspomnieć – formułowane przez „liberałów" z kręgu pisma „Niepodległość" – deklaracje o potrzebie unifikacji Niemiec, która położy kres radzieckiemu panowaniu nad Wisłą i Łabą, by dostrzec, że z perspektywy Republiki Federalnej Niemiec język takich wystąpień znajduje się w niekoniecznie pożądanym sąsiedztwie frazeologii skrajnej prawicy czy rytuału „wygnańczych" zjazdów.

Można zapewne powiedzieć, że naszym uproszczeniom odpowiada po stronie niemieckiej brak zrozumienia i zainteresowania dla spraw polskich. Miliony paczek, wysyłanych przez zwykłych ludzi, był na pewno pięknym dowodem sympatii. Ale wypowiedzi takich polityków jak Strauss /CSU/, który twierdził po 13 grudnia, że w Polsce *należało położyć tamę chaosowi*, czy Vogel /SPD[2]/ uważający Jaruzelskiego[3] za *polskiego patriotę, który chce dla swojego kraju wszystkiego co najlepsze*, mogą zniechęcić polską opozycję do sceny niemieckiej.

---

[1] Jacek Kubiak (ur. 1957) – dziennikarz, działacz opozycji demokratycznej w PRL. W stanie wojennym internowany.
[2] Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (SPD) – najstarsza z niemieckich partii politycznych, założenia programowe partii są oparte na ideałach socjaldemokratycznych i neoliberalnych.
[3] Wojciech Jaruzelski (1923–2014) – działacz komunistyczny, generał armii. Pełnił wiele wysokich funkcji w PRL, m.in. premiera, przewodniczącego Rady Państwa. Od grudnia 1981 na czele Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego.

Z drugiej strony wszakże, refleksja o Niemczech jest dziś bardziej potrzebna niż kiedykolwiek. Jeśli teatr we Frankfurcie zdecydował się wystawić sztukę Fassbindera, nawiązującą w kreacji jednej z postaci do tradycyjnych stereotypów antyżydowskich, a przedstawiciel władz komunalnych wobec protestów opinii publicznej bronił tej sztuki twierdząc, iż *okres ochronny dla Żydów się skończył*; jeśli – dalej – kanclerz Kohl[4] porównuje propagandowe umiejętności Gorbaczowa z praktykami Goebbelsa i Reykjavik z Monachium, to nie mamy wątpliwości – cokolwiek byśmy sami o Gorbaczowie czy Reykjaviku sądzili – że w Republice zarysowuje się nowa konstelacja duchowa, powstaje nowy klimat. Kohl /ur. 1930/, który jest świadom zachodzących zmian i je współtworzy, powiada, że należy do pokolenia, które korzysta z *łaski późnego przyjścia na świat* i nie ponosi odpowiedzialności za wojnę. Oświadczenie takie złożył Kohl w czasie wizyty w Izraelu, co nie było, być może, najstosowniejszą okazją. Ale dość na tym, że cytowane wypowiedzi byłyby jeszcze kilka lat temu, za rządów koalicji socjalliberalnej całkowicie nie do pomyślenia. Nic więc dziwnego, że wzbudzają one krytyczne często zainteresowanie, a nawet sensację, i to nie tylko w oczach korespondentów „Prawdy".

Zmiany – o których mowa, znalazły dobitny wyraz w trakcie dyskusji wokół 40. rocznicy zakończenia wojny. Niemcy postawili sobie kłopotliwe pytanie: Rok 1945 – klęska czy wyzwolenie?

Co prawda, nie wszyscy Niemcy. W Berlinie Wschodnim bowiem już od dawna wiadomo, że w okresie II wojny światowej ludność NRD prowadziła zażarty bój antyfaszystowski, który z winy hitlerowców zza Łaby skończył się dopiero w 1945 roku. *Naród NRD należy do zwycięzców historii i obchodzi 8 maja jako swe święto*, zadeklarowała na krótko przed 40. rocznicą gazeta „Neues Deutschland".

W RFN natomiast dyskusja wokół 8 maja osiągnęła nie notowaną w takich razach temperaturę i zasięg. „Nie można świętować katastrof", mówili jedni. „Uczcijmy dzień wyzwolenia", nawoływali inni. Snuto refleksyjne rozważania: „Nieszczęście sprowadził na nas Hitler, ten zły duch, który omamił Niemcy. Gdyby nie on, nie byłoby wojny i zbrodni". Odpowiadano na to: „Faszyzm miał rozległe podłoże polityczne i historyczne. Trzeba to dobrze pojąć, by uniknąć czegoś podobnego w przyszłości". Heiner Geissler[5], sekretarz generalny CDU[6], jako *zdradę* określił *passus* okolicznościowego oświadczenia SPD, mówiący, iż trzeba nadal walczyć o demokrację, gdyż jej brak może spowodować obudzenie się złej przeszłości. Socjaldemokraci z kolei wytykali *agresywne rysy* obrazu historii, lansowanego przez chadeków.

Był jednak moment, kiedy spory na chwilę ucichły, był głos, któremu przyklasnęli wszyscy: przemówienie prezydenta Republiki, chrześcijańskiego demokraty Richarda

---

[4] Helmut Kohl (1930–2017) – niemiecki polityk chadecki, w latach 1982–1998 kanclerz RFN.
[5] Heiner Geissler (1930–2017) – niemiecki polityk chadecki.
[6] Unia Chrześcijańsko-Demokratyczne (CDU) – niemiecka partia polityczna, określająca się mianem centroprawicowej, nawiązuje do konserwatyzmu i chrześcijaństwa.

von Weizsäckera[7], wygłoszone 8 V 1985 r. w Bundestagu. Nawet w łonie partii Zielonych, gdzie bez wątpienia chwalenie chadeckich polityków, nie należy do dobrego tonu, mówiono wówczas, iż wystąpienie Weizsäckera, pełne istotnych treści historycznych, przeczy sformułowanej niegdyś tezie Heinricha Bölla[8] jakoby RFN nie było *wiarygodnych konserwatystów*.

Ale bo też prezydent posiada kulturę słowa i poczucie taktu, godne jego wysokiego urzędu. Potrafił znaleźć odpowiedni ton i właściwe rozłożenie akcentów.

Prezydent mówił: *Dla nas, Niemców, 8 maja nie jest dniem świętowania. Ludzie, którzy ten dzień świadomie przeżyli, myślą dziś o swych bardzo osobistych i przez to zupełnie różnych doświadczeniach. Jedni wracali wtedy do domu, inni tracili ojczyznę. Ten odzyskał wolności, ów dostał się do niewoli /.../. Wielu szło z gorzkimi uczuciami wobec zrujnowanych iluzji, podczas gdy inni byli wdzięczni za ofiarowany nowy początek.*

/.../ A mimo to stawało się [podkr. – J.K.] *z dnia na dzień coraz bardziej jasne to, co i my wszyscy musimy dziś powiedzieć: 8 maja był dniem wyzwolenia. Uwolnił nas wszystkich od narodowosocjalistycznych rządów przemocy, od systemu pogardy dla człowieka.*

Nić takiej rozumnej dialektyki snuła się przez cały wywód. Prezydent poruszał kwestie drażliwe, zachowując zawsze wyważony umiar. Mówił więc o tym, że przeważająca część żyjących Niemców nie może być obarczana winą za tamta epokę, ale jednocześnie bardzo dobitnie podkreślał współodpowiedzialność całego społeczeństwa za zbrodnie dokonane przez niewielu, zbrodnie, jakich przedtem świat nie widział. Mówił o *cierpieniach i bezprawiu*, jakie stały się udziałem wygnańców, ale nie krył również, iż był to skutek wojny rozpętanej przez Niemców. Uważny słuchacz mógł, co prawda, wychwycić nuty zdradzające światopoglądową perspektywę chadeckiego prezydenta. Zwłaszcza gdy padały sformułowania o Hitlerze, *napędowej* sile nieszczęścia, lub gdy Weizsäcker, powołując się na Michaela Stürmera, historyka z Erlangen i doradcę Kohla, interpretował wojnę jako kres *dawnego europejskiego świata*. Nie zmienia to wszakże faktu, iż oracja prezydenta, która w druku osiągnęła blisko milionowy nakłada, wzbudziła powszechny aplauz. Na tyle w każdym razie powszechny, że nikt nie miał ochoty oponować, z wyjątkiem wszakże takich organów jak „Deutscher Ostdienst" czy „Der Schlesier", które miały Weizsäckerowi za złe, że nie potwierdził „prawa do ojczyzny", *Recht auf die Heimat*, i za mało mówił o cierpieniach niemieckiego Wschodu, które były *holocaustem wypędzonych*.

Aby zrozumieć, dlaczego Richard von Weizsäcker zasłużył sobie na miano *wiarygodnego konserwatysty*, trzeba sięgnąć do innego przemówienia, wygłoszonego kilka dni wcześniej przez Alfreda Dreggera[9], przewodniczącego frakcji parlamentarnej CDU-CSU, w trakcie manifestacji Związku Wypędzonych, która odbywała się pod

[7] Richard von Weizsäcker (1920–2015) – niemiecki polityk chadecki, w latach 1984–1994 prezydent RFN.
[8] Heinrich Böll (1917–1985) – niemiecki pisarz, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury 1972.
[9] Alfred Dregger (1920–2002) – niemiecki polityk chadecki.

hasłem: O wolne Niemcy w Wolnej Europie. Jeszcze kilka lat temu nie byłoby może warto wspominać zjazdów przesiedleńczych, na poły folklorystycznych imprez, znajdujących się na obrzeżu właściwego życia publicznego. Od momentu wszakże, gdy kanclerz Kohl podjął nie praktykowaną od kilkunastu lat tradycję i wziął udział w Zjeździe Ziomkostw latem 1985 r., rzecz ma się inaczej. Problem wygnańców, a ściślej, języków wygnańczych przywódców, zyskał w pewnym sensie prawo powrotu do politycznych salonów.

Kazus Dreggera, jednej z czołowych osobistości w CDU, może ów powrót obrazować. We wspomnianym przemówieniu, powołując się na *równość wobec prawa* i *elementarną zasadę cywilizacji zachodniej*, żądał on, by pamiętać również o zbrodniach popełnionych przez zwycięzców. Solidaryzował się z ofiarami wojny i terroru, wymieniając jednym tchem Żydów i wypędzonych. Żydom współczuł tym bardziej, że wielu z nich *odznaczyło się w I wojnie światowej jako żołnierze niemieccy*. Natomiast o niemieckich żołnierzach II wojny światowej miał do powiedzenia tyle, że zabrakło prawdy w obrazie w obrazie ich losu i ocenie ich roli, gdy w czasie dyskusji i poprzedzających obchody *rozdzierano zabliźnione rany, a obłuda triumfowała*. Jaka jest, zdaniem Dreggera, owa obłudnie przemilczana czy sfałszowana prawda o niemieckim żołnierzu, łatwo można się dowiedzieć skądinąd, a mianowicie z listu, w jakim ów chadecki polityk strofował senatorów amerykańskich za ich protest przeciwko bądź co bądź, niefortunnej wizycie Reagana[10] na cmentarzu w Bitburgu. Dregger oświadczył, iż protest ten obraża pamięć poległych żołnierzy niemieckich i jest sojuszniczą nielojalnością. On sam ostatniego dnia wojny *bronił wraz ze swym batalionem* jednego ze śląskich miast *przed atakami Armii Czerwonej*, a niemal wszyscy jego frontowi koledzy byli *porządnymi młodymi ludźmi*.

Peter Glotz, jeden z czołowych polityków socjaldemokratycznych, nazwał ten list przejawem *moralnej korupcji*, ciosem w *prestiż niemieckiej demokracji* oraz dostrzegł w nim, słusznie zresztą, reminiscencje frazeologii narodowo-niemieckiej z epoki weimarskiej. To są naprawdę mocne słowa. Temperatura i zasięg dyskusji, głębokość rysujących się podziałów ideowych w dzisiejszych Niemczech muszą zastanawiać.

Dregger mówił o *porządnych* chłopakach z Wehrmachtu, którzy – bo taki jest ostatecznie sens jego wystąpień – do ostatniej chwili osłaniali Europę przed czerwonym zalewem. My pamiętamy o mogile żołnierza Ottona Schimka, który został rozstrzelany za odmowę udziału w egzekucji na Polakach. Nie sposób oprzeć się refleksji, że nie tylko Polacy, ale również Niemcy, a raczej bardziej Niemcy niż jakikolwiek inny naród, stają wobec wyboru między „dwiema ojczyznami, dwoma patriotyzmami".

Pytanie o narodową tożsamość pojawiło się zresztą i dawnie w refleksjach snutych nad Renem i Łabą. Stawiano je niejednokroć już w XIX w., gdy Niemcy

[10] Ronald Reagan (1911–2004) – amerykański polityk republikański, prezydent USA w latach 1981–1989.

znajdowały się na drodze do swego pierwszego nowożytnego państwa narodowego, które powstało dopiero niespełna 120 lat temu. Jedna z najpopularniejszych pieśni narodowych ubiegłego stulecia zaczynała się od słów: *Was ist des Deutschen Vaterland?*

Powiedzmy wszakże od razu: choćbyśmy wydłużali listę niefortunnych czy dwuznacznych wypowiedzi prawicy w historycznych dyskusjach lat ostatnich, nie będzie to oznaczało, że w Republice Federalnej pojawiło się widmo narodowosocjalistycznej recydywy. Akceptacja konstytucyjnego ustroju jest praktycznie rzecz biorąc powszechna. Niemcy Zachodnie są i pozostaną w przewidywanej przyszłości jedną z najdoskonalszych demokracji na naszym bardzo niedoskonałym świecie. I nie zmienią tego faktu najbardziej nawet pracowite elukubracje koncesjonowanych „niemcoznawców" w stylu Męclewskiego, którzy nieustraszenie tropią każdą swastykę na murach Monachium czy Berlina Zachodniego i tą posługą patriotyczną są tak zajęci, że nie starcza im już czasu, by czytać dokumenty Kościoła Ewangelickiego w NRD, który w ubiegłych latach kilkakrotnie sygnalizował groźbę odnowienia się faszyzujących postaw wśród części młodzieży NRD oraz nawrót antypolskich resentymentów.

Można natomiast nową sytuację duchową w RFN ująć inaczej. Lawinowy rozwój ruchu pokojowego na początku lat osiemdziesiątych, ukonstytuowanie się Zielonych jako partii parlamentarnej, wewnętrzny kryzys SPD, mający na razie cechy trwałości, zmiana koalicji, która przyniosła za sobą zmianę języka rządu bońskiego są to symptomy zaostrzającej się polaryzacji, która dotyczy niejednokroć centralnych zagadnień społecznych i politycznych. Są to, z jednej strony, problemy zbrojeń, roli RFN w NATO[11], energetyki atomowej, a z drugiej – problemy rosnących zróżnicowań socjalnych, wyrażające się m.in. w permanentnym bezrobociu. Niektórzy alarmują już, że społeczeństwo Republiki przybrało strukturę 1/3+2/3, tzn. wyłączoną z udziału w materialnym dobrobycie mniejszość i korzystającą w pełni z luksusów cywilizacji przemysłowej większość. Mówiąc ogólniej: społeczny konsensus, który w poprzednich dziesiątkach lat konsolidował się wokół zadań odbudowy i sukcesów „cudu gospodarczego", uległ w pewnych zakresach zachwianiu. Nic też dziwnego, że sytuacja ta zaowocowała dyskusjami nad tradycją i historią, że zaczęto się zastanawiać, co właściwie jest niemieckie i jakie właściwie były i są Niemcy.

Günter Gaus[12], niegdyś stały przedstawiciel socjaldemokratycznego rządu bońskiego w Berlinie Wschodnim, obecnie niezależny eseista polityczny, mówi, że zawiodły nadzieje żywione w epoce powojennej *restauracji*. Zawiodła m.in. nadzieja na szybką europejską integrację, która po roku 1945, roku „zero", dać miała Zachodnim Niemcom poczucie nowej tożsamości; Adenauer, nadreński chadek, był stanowczym rzecznikiem tej integracji, choćby kosztem trwałej utraty wschodniej części kraju z

[11] NATO (Organizacja Traktatu Północnoatlantyckiego) – sojusz wojskowy i polityczny zawarty w 1949. Jego celem była obrona przed atakiem ZSRR. Od 1952 oparta o amerykańską doktrynę odstraszania.
[12] Günter Gaus (1929–2004) – niemiecki dziennikarz, polityk i dyplomata.

całym balastem jej pruskich tradycji. Stąd w dobie powojennych rządów konserwatywnych Niemcy Zachodnie przywykli, jak mówi Gaus, do antykomunistycznej frazeologii, która miała zaznaczać ich odrębność wobec *wschodniej strefy okupacyjnej* oraz podkreślać lojalność wobec nowych sojuszników. W takiej atmosferze rzeczywiste problemy, jak sądzi eseista, były jednak spychane na margines, a dzisiejszy podział Niemiec, którego dramatyzm i kulturowe skutki porównywalne są z wyznaniowym podziałem kraju w epoce Reformacji, stawał się jedynie przedmiotem okolicznościowych wystąpień lub wręcz wypierany ze świadomości, co złożyło się razem na dzisiejsza kryzysową sytuację.

Günter Gaus jest pesymistą. W swojej głośnej książce *Wo Deutschland liegt* pisał niedawno: *Nieszczęście Niemiec nie osiągnęło jeszcze swej pełnej miary*. Kończy się długa *przerwa na oddech, trwająca ponad trzydzieści lat, którą wielu z nas odczuwało jako ostateczne przezwyciężenie niedoli lat 1933-1945. Oznaki, iż przerwana tragedia zaczyna się na nowo, pojawiają się od kilku lat, zrazu ledwo rozpoznawalne, teraz już coraz bardziej widoczne.*

Źródłem tego pesymizmu jest m.in. diagnoza, iż na spuściznę czasu *restauracji*, z jej upraszczającą frazeologią i pakietem nie załatwionych problemów, nakładają się obecnie postawy *narodowo-niemieckie*, jakie obserwowaliśmy tutaj na przykładzie Dreggera.

Natomiast dzisiejsi konserwatyści martwią się, jak nigdy przedtem, *ahistorycznością* zbiorowej świadomości obywateli RFN, w czym widzą główne źródło teraźniejszego kryzysu. Wspomniany już konserwatywny historyk M. Stürmer uważa, iż w tej sytuacji szczególne zadanie przypada historiografii, która nie może uchylać się od stworzenia obrazu dziejów, zdolnego do zintegrowania zbiorowości, sprzyjającego narodowemu konsensusowi. *W kraju pozbawionym historii* – pisze Stürmer – *ten zdobędzie przyszłość, kto wypełni pamięć, ukuje pojęcia i zinterpretuje przeszłość /Dissonanzen des Forschrifts*, 1986/. Ponieważ jednak - dodaje Stürmer – praca historyka musi sprostać również wymogom naukowej metody, przeto porusza się on stale na krawędzi między *kreowaniem sensu a demitologizacją*, bo tak należałoby przetłumaczyć używaną przez cytowanego autora formułę *Zwischen Sinnstiftung und Entymholiesierung*.

Stan historiografii bywał zresztą często odbiciem ogólniejszych tendencji politycznych społeczeństwa niemieckiego, a spory historyczne znakiem bardziej generalnych kontrowersji. Znany badacz amerykański, G.G. Iggers[13], pisał wręcz, iż nie sposób pojąć dziejów Niemiec nie znając ewolucji historiografii w tym kraju. By nie sięgać dalej wstecz, np. do *Antisemitismusstreit*, który wywołany został w 1879 r. przez Treitschkego, przypomnijmy tylko falę polemik z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych naszego stulecia. Na dobrą sprawę dopiero wtedy następowało odejście od dominującego uprzednio wzorca XIX-wiecznego historyzmu, akcentującego problematykę powstawania nowożytnego państwa narodowego i

[13] Georg G. Iggers (1926–2017) – niemiecko-amerykański historyk historiografii i teorii historii.

prymat polityki zagranicznej. Mówiąc obrazowo: historia jako konstytuowanie się i ścieranie państwowych racji stanu.

Owa dominująca /choć zaznaczyć trzeba, że nie wyłączna/ tendencja, zwana często apologetyczną, posłużyła legitymizacji wilhelmińskiej Rzeszy, a później, w dobie I wojny światowej, uzasadnianiu wojennych celów mocarstw centralnych. W kontekście interesujących nas zjawisk współczesnych warto może odnotować, że także historycy mieli swój udział w wypracowaniu przez naukę niemiecka na początku XX w. koncepcji *Mitteleuropa*, to jest Europa Środka, jako naturalnego terenu ekspansji niemieckiej.

Dodać trzeba, iż takie oblicze dyscypliny sprawiło, że większość historyków w epoce weimarskiej włączyła się w krytykę „dyktatu wersalskiego" i „kłamstwa o winie niemieckiej" oraz w zasadzie bezkolizyjnie zaadaptowała się w rzeczywistości III Rzeszy, przynajmniej do czasu lub w ograniczonym zakresie akceptując politykę Hitlera. Nawet Friedrich Meinecke[14], który bez wątpienia reprezentował to, co w spuściźnie historyzmu niemieckiego najlepsze, u schyłku wojny związał się ze spiskowcami 20 lipca, pisał w jednym z listów o Anschlussie Austrii: *Uzyskanie Austrii za jednym zamachem pchnęło całą niemiecką historię do przodu i spełniło dawne życzenia i ideały*.

I właśnie ta tradycja naukowa została w ogniu polemik zakwestionowana przez nowe pokolenie historyków, które wstąpiło na scenę w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Jeśli w ramach dawnego paradygmatu /F. Meinecke, *Die deutsche Katastrophe*, 1946/ Hitler jawił się jako nagłe wtargnięcie egzystencjalnego zła w dzieje, a pytanie, dlaczego społeczeństwo niemieckie było tak podatne na szatańską charyzmę dyktatora, pozostawało poza obszarem naukowej analizy, stawiano teraz – począwszy od głośnej dyskusji o celach wojennych Rzeszy w latach 1914-18 /*Fischer-Kontroverse*/ - zagadnienie kontynuacji i dyskontynuacji w najnowszej historii Niemiec. Towarzyszył temu wzrost zainteresowań sprawami społecznymi i gospodarczymi oraz nowymi podejściami metodologicznymi, które odsłaniały coraz głębsze determinanty dziejów politycznych. Dla uchwycenia szerszego wymiaru tych sporów przypomnieć trzeba, że w pewnym momencie, tj. u schyłku lat sześćdziesiątych, akompaniamentem dla nich stała się rewolta studencka, w której młodzi ludzie i Nowa Lewica zaczęli głośno stawiać pytanie o odpowiedzialność pokolenia ojców, „pokolenia Oświęcimia", kwestionując w ten sposób ideowe i polityczne *status quo* powojennej Republiki. Jeszcze dziś Michael Stürmer[15] winę za obecny kryzys składa na jakoby charakterystyczną dla lat sześćdziesiątych *pedagogikę konfliktu*, na ówczesną *destrukcję autorytetu*; wtedy siano wiatry, mówi Stürmer, a *dziś zbieramy niezgodę*.

---

[14] Friedrich Meinecke (1862–1954) – niemiecki historyk, popierał czystki etniczne w Polsce i na Łotwie w czasie II wojny światowej.

[15] Michael Stürmer (ur. 1938) – niemiecki historyk i dziennikarz. W latach 1973–2008 związany z Uniwersytetem w Norymberdze.

Ten pobieżny ekskurs w stronę dziejów niemieckiej historiografii był potrzebny, by lepiej zrozumieć najbardziej spektakularny spór ideowy ostatniego okresu, czyli rozgorzałą w połowie 1986 roku dyskusję historyków o interpretację fenomenu nazizmu. Rzecz jest niebagatelna. W dyskusji, często bardzo ostrej i niewolnej od argumentów *ad personam*, brało udział grono najwybitniejszych historyków współczesności, jak m.in. Ernst Nolte[16], Andreas Hillgruber[17], Joachim Fest[18], Martin Broszat[19], Eberhard Jäckel[20] oraz filozof i socjolog Jürgen Habermas[21].

Debatę sprowokował artykuł Ernsta Noltego *Przeszłość, która nie chce przeminąć* /"Frankfurter Allgemeine Zeitung, 6.06.1986/. Nolte podkreślił, że Holocaust nie był pierwszym masowym mordem XX wieku. Powszechnie znana była rzeź Ormian w 1915 r., a literatura antybolszewicka lat dwudziestych przyniosła wiele szczegółów o *klasowym mordzie* dokonanym w Rosji Radzieckiej na burżuazji i kułakach. Jeśli nawet część relacji o masowych deportacjach, rozstrzeleniach, torturach była przesadzona – zaznacza Nolte – to nasuwa się pytanie: *Czy narodowi socjaliści, czy Hitler nie dokonał „azjatyckiego czynu" może tylko dlatego, że widział siebie i sobie podobnych jako potencjalne lub rzeczywiste ofiary „azjatyckiego czynu"? Czy Archipelag Gułag nie był bardziej pierwotny niż Oświęcim? Czy „klasowy mord", dokonany przez bolszewików nie był logicznym i faktycznym poprzednikiem „rasowego mordu" narodowych socjalistów?*

Cóż, interpretacja Oświęcimia jako swoistej akcji prewencyjnej nie budzi naszego entuzjazmu. Zbyt dobrze pamiętamy z ducha podobne nauki Największego Historyka, który głosił, że trzeba wznosić koncłagry, bo walka klasowa zaostrza się w miarę postępu socjalizmu.

Ale Noltemu, jeśli sądzić na podstawie najgłośniejszej jego pracy *Der Faschismus in seiner Epoche*, nie chodzi o takie wulgarne *usprawiedliwienia*. Nolte interpretuje faszyzm i marksizm jako bunt przeciwko po Heideggerowsku rozumianej *transcendencji*, przeciwko temu, iż człowiek w swej działalności praktycznej i refleksji teoretycznej przekroczył wskutek skokowego postępu w ostatnich kilkudziesięciu latach granicę samego siebie, granicę własnego bytu. Habermas powiada, iż tego rodzaju ezoteryczne konstrukcje pojęciowe, jak owa *transcendencja*, budowane są w tak przepastnej

---

[16] Ernst Nolte (1923–2016) – niemiecki historyk i filozof, jego teza o nazizmie jako obronnej reakcji na komunizm wywołała tzw. kłótnię historyków.

[17] Andreas Hillgrüber (1925–1989) – konserwatywny niemiecki historyk, odgrywał ważną rolę w tzw. Kłótni historyków w latach 80. W kontrowersyjnej pracy *Zweierlei Untergang* twierdził, iż nie ma moralnej różnicy między polityką aliancką wobec Niemiec w latach 1944–1945, a ludobójstwem wobec Żydów.

[18] Joachim Fest (1926–2006) – niemiecki historyk, wydawca i pisarz.

[19] Martin Broszat (1926–1989) – niemiecki historyk, zajmował się historią społeczną Trzeciej Rzeszy i historią antysemityzmu w Niemczech. W tzw. Kłótni historyków skrytykował poglądy, prowadzące do relatywizacji zbrodni nazistowskich.

[20] Eberhard Jäckel (1929–2017) – niemiecki historyk związany z lewicą, zajmował się okresem III Rzeszy. W kłótnik historyków zajął bardzo krytyczną postawę wobec poglądów Ernsta Noltego.

[21] Jürgen Habermas (ur. 1929) – niemiecki filozof, socjolog i publicysta polityczny. Czołowy opozycjonista w kłótni historyków poglądów usprawiedliwiających nazizm i próbujących rehabilitować reputację Wehrmachtu.

intelektualnej głębi, że wszystkie koty zdają się szare; konstrukcje takie zaciemniają obraz wyjątkowości zbrodni hitlerowskich.

Z drugiej strony wszakże przyznać trzeba, że nie musi być pozbawione sensu pytanie, czy faszyzm i marksizm nie są różnymi odpowiedziami na alienacyjne procesy związane z rewolucją przemysłową. Tak to rozumie Nolte. W jego ujęciu zarówno utopie francuskich socjalistów, jak Marksowski program wyzwolenia pracy i protest przeciwko urzeczowieniu stosunków międzyludzkich, podobnie jak faszystowski antyindywidualizm, aintelektualizm, kult rasy, „krwi i ziemi" jest reakcją na zagrożenia, jakie niesie postęp. Podejście Noltego różni się od wcześniejszych interpretacji faszyzmu /jako rebelii przeciwko nowoczesności czy ataku na Oświecenie/ przede wszystkim tym, że stosuje on – obok szerokiego podejścia porównawczego – swoistą perspektywę *rozumiejącą*, strategię fenomenologicznego *wczuwania się*. *Krytyka postępu* – pisze w jednej z ostatnich rozpraw – *i obawa przed jego niszczycielskimi konsekwencjami są dziś tak powszechne, że wprost narzucać się musi pewne zrozumienie /i o tyle również „sympatia" w literalnym znaczeniu/ dla wcześniejszych przejawów tych lęków, i to nawet wśród tych, którzy z góry i w sposób oczywisty potępiają konkretne ich skutki* /"Historisches Zeitschrift", t. 242, 1986/. Tu, istotnie, może się jednak nasunąć pytanie, czy takie *rozumiejące* podejście, takie porównawcze wywody: od Fouriera do Hitlera, od Stalina do Zielonych mają jeszcze jakąś wartość eksplikacyjną, czy mają jakiś inny skutek niż zakwestionowanie wyjątkowości fenomenu nazizmu.

Nolte mógłby, co prawda, dla poparcia swojego stanowiska powołać się na nie byle jaki autorytet. Wiosną 1939 r. Tomasz Mann napisał krótki esej, do dziś nie w pełni jasny dla komentatorów, pt. *Brat Hitler*. Czytamy tam: *czuję, że nie są to najlepsze chwile mojego życia, gdy nienawidzę tej nędznej, acz fatalnej kreatury. Szczęśliwsze, stosowniejsze wydają się te, w których zwycięstwo nad nienawiścią odnosi potrzeba wolości, swoboda myśli, słowem: potrzeba ironii, która tak dawno temu nauczyłem się rozumieć jako element immanentny wszelkiej sztuce i produktywności umysłowej.*

Temu postulatowi humanisty, który chce, by w każdej interpretacji dojrzeć możliwość jej ironicznego zaprzeczenia, by nie tylko wartościować, a przede wszystkim rozumieć, niełatwo wszakże sprostać, gdy mowa jest o faszyzmie. Nolte /w zbiorze *Aspects of the Third Reich*, 1985/ stwierdza, iż Chaim Weizmann, jeden z przywódców Światowego Kongresu Żydów, proklamował we wrześniu 1939 r. gotowość Żydów z całego świata do walki po stronie Anglii, skąd dla badacza wniosek, że wobec takiej groźby Hitler miał prawo traktować Żydów jako jeńców i ich internować. Później, już w odpowiedzi na atak Habermasa, historyk zastrzegł, że nie chodziło mu o usprawiedliwienie Holocausty, a tylko o interpretację wypowiedzi Weizmanna, niezaprzeczalnego faktu, którego nie można ignorować tylko dlatego, że *poddawany jest przesadzonym lub uproszczonym interpretacjom w literaturze radykalnej prawicy* /"Die Zeit", 31.10.1986/. Mówiliśmy już tutaj, że język skrajnej prawicy uzyskał w pewnym sensie prawo powrotu na intelektualne i polityczne salony. Trudno o

dobitniejsze tego świadectwo, które jest też i przestrogą, iż chcąc pojąć prawdę oprawcy, łatwo stracić z oczu prawdę ofiary.

Już z powyższych przytoczeń widać chyba dość wyraźnie, że Jürgen Habermas, potomek szkoły frankfurckiej i człowiek lewicy, miał dość powodów do niepokoju. Wystąpił też w sposób zasadniczy. W artykule *Swoiste odrabianie szkód* /"Die Zeit", 11.07.1986/, przywołując m.in. referowane już tutaj poglądy Stürmera i Noltego, zaatakował *apologetyczne tendencje w niemieckiej historiografii współczesności.*

W polu ostrzału znalazł się również Andreas Hillgruber, autor skądinąd ceniony, m.in. za swój wkład w dyskusję nad problemem kontynuacji. Habermas zarzuca temu historykowi, iż w sposób, jak na pracę naukową, nader osobliwy, w ostatniej swej książce *Zweierlei Untergang*, zawierającej dwa odrębne szkice: o eksterminacji Żydów i o klęsce na froncie wschodnim, przyjął on perspektywę identyfikacji z ludnością terenów wschodnich i – by użyć słów samego Hillgrubera – *z desperackimi i ofiarnymi wysiłkami niemieckiej armii Wschodu i marynarki niemieckiej w obszarze Bałtyku, usiłującymi uchronić ludność niemieckiego Wschodu przed orgiami zemsty ze strony Armii Czerwonej, przed masowymi gwałtami, przed samowolą mordów i deportacji.* Walka na Wschodzie, utrzymuje historyk, broniła mocarstwowej pozycji Rzeszy, skazanej przez aliantów na unicestwienie, oraz osłaniała obszar od wieków zamieszkały przez Niemców. Alianci zachodni – kontynuuje autor *Zweierlei Untergang* – zbyt późno spostrzegli, że wskutek ofensywy rosyjskiej cała Europa poniosła klęskę w katastrofie 1945 roku. Rozważania swe kończy Hillgruber stwierdzeniem, iż rekonstrukcja zniszczonego środka Europy jest dziś równie aktualnym zadaniem jak 40 lat temu. *Morał tej historii* – konstatuje z gryząca ironią Habermas – *widoczny jest jak na dłoni: dziś przynajmniej zgadzają się alianse.*

Nie wnikając już w dalsze szczegółowe zarzuty stawiane historykom przez Habermasa, zarzuty bez wątpienia niekiedy wyostrzone i pomijające istotne różnice między atakowanymi przedstawicielami dyscypliny, powiedzmy najogólniej, że ma on im za złe próbę relatywizacji, a przez to rozgrzeszenia zbrodni hitlerowskich. Owa relatywizacja zbrodni i choćby częściowa waloryzacja III Rzeszy /obrona na Wschodzie/ ma uczynić z nazizmu element „normalnej" przeszłości, a nie wyrwę w historii, czy – co gorsza – kompromitację także sporych obszarów wcześniejszych dziejów Niemiec. Historycy uważają, że jedną z sił napędowych historiografii jest – jak mówi Stürmer – *zbiorowa potrzeba kreowania świeckiego sensu*, tzn. integrowania wspólnoty wokół historii, gdyż *pluralizm wartości i interesów, jeśli nie znajduje wspólnej gleby, doprowadza wcześniej czy później do społecznej wojny domowej.*

Habermas odpowiada świadomość historyczna jako namiastka religii to dawne marzenie niemieckiego historyzmu. Reaktywowanie tego paradygmatu oznacza dzisiaj próbę odbudowania *konwencjonalnej* identyczności narodowej, a dążenie do wytworzenia *sensów* jednoczących świadomość wszystkich Niemców, zagraża pluralizmowi sposobów czytania przeszłości. Ten pluralizm, który odzwierciedla

strukturę społeczeństwa otwartego, stwarza szansę ujrzenia tradycji ze wszystkimi jej ambiwalencjami i zbudowania *postkonwencjonalnej* identyczności narodowej, w której nie ma miejsca dla naiwnego utożsamiania się z własną przeszłością, a duma narodowa i zbiorowe poczucie własnej wartości przepuszczone są przez filtr wartości uniwersalnych.

W RFN, uważa Habermas, kształtuje się taka postkonwencjonalna identyczność, co oznacza, iż szans, jaką przyniosła moralna katastrofa, nie została całkowicie zaprzepaszczona. Pozbawione zastrzeżeń otwarcie Republiki na kulturę polityczną Zachodu jest na tej drodze największym osiągnięciem. Dziś jedynym patriotyzmem, który nie oddala Niemców od Zachodu, jest *patriotyzm konstytucji*. Lecz kłócą się z nim – zdaniem Habermasa – próby rehabilitacji przeszłości, za którymi stoi *filozofia NATO-wska o zabarwieniu narodowo-niemieckim* i stara *ideologia Środka*, jaka na nowo rozbrzmiewa w wystąpieniach dzisiejszych *rewizjonistów*, mówiących o *dawnym środkowo-europejskim położeniu Niemców* lub o *rekonstrukcji zniszczonego europejskiego środka*.

Jeśli nie wcześniej, to w tym momencie polski obserwator „sporu historyków" dostrzec musi, że chodzi tu także o niego. Stanowczo pro okcydentalna opcja Habermasa i tok polemicznej argumentacji uświadamiają aktualność kwestii: Europa Środkowa a Niemcy.

Sposób, w jaki konserwatyści niemieccy chcą ożywić pojęcie środkowoeuropejskiej wspólnoty, nie jest wolny od dwuznaczności. Dopóki pojęcie to będzie jedynie mottem wygnańczych wieców lub wątpliwych wywodów historycznych, dopóty prawica Republiki Federalnej nie będzie dla Czechów czy Polaków dostatecznie wiarygodna, zwłaszcza że nie zapomina się tak łatwo wypowiedzi w stylu Straussa, który kłopotał się *chaosem* w Polsce. Ale nie sposób wykluczyć z góry możliwości dialogu i prób wzajemnego zrozumienia. Dla Polaków i Czechów bowiem, dla narodów Europy Środka i w ogóle, rok 1945 nie był rokiem „zero". Był początkiem nowej – choć nie grożącej już apokaliptyczną zagładą – niedoli. W naszej części kontynentu trwa historycznie ukształtowana świadomość narodowa i przechowywana jest pamięć Europy Środka – przestrzeni wielowiekowego współżycia różnych nacji – utrwalona, warto tu odnotować, szczególnie wyraziście w dziełach pisarzy niemieckojęzycznych, takich jak Robert Musil, Joseph Roth czy Elias Canetti.

Jeśliby jednak przyjąć, że obecne hasła prawicy nie są wyłącznie reminiscencjami konserwatywnego konsensusu epoki *restauracji* lub narodowo-niemieckiej frazeologii doby weimarskiej, to i tak długo jeszcze jest droga do dialogu Polaków z obozem dzisiejszej koalicji rządowej. Trwać będzie ona co najmniej tak długo, aż konserwatyści zdobędą się na refleksje o naszej części kontynentu, dorównującą poziomem rozważaniom Weizsäckera o narodowej przeszłości Niemiec.

Zdawać by się zresztą mogło, że potężny ruch pracowniczy, jakim była i jest Solidarność – wyraz polskich aspiracji powrotu do Europy – liczyć mógłby na

szczególne zrozumienie bardziej na lewicy niż na prawicy. Osobliwym zbiegiem okoliczności 13 XII 1981 r. Helmut Schmidt[22] wystąpił wraz z Erichem Honeckerem[23] na wspólnej konferencji prasowej zamykającej wizytę ówczesnego kanclerza w Berlinie Wschodnim. Na pytanie o ocenę najnowszych wydarzeń w Polsce Schmidt odpowiedział, że jest nimi równie poruszony jak siedzący obok *pan sekretarz generalny*. Honecker był rzeczywiście, i to od dawna, „poruszony" wydarzeniami w Polsce, jak wnioskować można z artykułów w „Neues Deutschland", ostrzegających już we wrześniu 1981 r., że Solidarność tworzy *oddziały bojowe na wzór SA*.

Powiedzmy jeszcze inaczej: dla polskiej opozycji wciąż zastanawiające jest pytanie, dlaczego Willy Brandt[24], czołowy polityk powojennej socjaldemokracji, a w epoce nazizmu – ofiarny działacz emigracyjny i odważny emisariusz do sterroryzowanej ojczyzny, nie chciał w grudniu 1985 r. spotkać się z Wałęsą[25]. Albo np. dlaczego Helmut Schmidt, wspominając stosunkowo niedawno okres jawnego działania Solidarności /"Die Zeit", 22.05.1987/, z zadowoleniem stwierdza, że udało mu się wówczas odwieść związki zawodowe /DGB/ od pomysłu zaproszenia Wałęsy, co mogłoby stworzyć wrażenie *ideologicznego mieszania się* w wewnątrzpolityczne spory i dać pretekst do interwencji. To kuriozalne rozumowanie nie jest trawestacją argumentów, jakie znamy z „Żołnierza Wolności", lecz szczerą deklaracją jednej z czołowych osobistości lewicy parlamentarnej w Niemczech.

Rozumowania Schmidta i stanowisko Habermasa – to w gruncie rzeczy dwie strony tego samego zjawiska. Habermasowi trzeba przyznać rację, gdy – wierny etosowi lewicowego intelektualisty – piętnuje tych wszystkich, którzy, jego zdaniem, zaklinają na nowo złe duchy niemieckiej przeszłości. Ma rację, gdy ostrzega, że stawiając problem porównywalności Oświęcimia i Gułagu łatwo popełnić nadużycia, popaść w swoistą arytmetykę zbrodni, według której przesiedlenie Niemców było *Holocaustem wypędzonych*. Ale nie ma racji, gdy chce czynić tabu z samego pojęcia *Mitteleuropa*, gdyż jest to hasło obciążone nacjonalistyczną tradycją, gdyż – jak sądzi Habermas – reaktywowanie tej koncepcji godzi w dzisiejsze *status quo*, które przyniosło Niemcom pierwszą trwałą demokrację w ich historii, opartą na ścisłej więzi z Zachodem.

G. Gaus w cytowanej tu już książce pisze: *Obłędna, narodowosocjalistyczna interpretacja niemieckiej historii ma swój odpowiednich w płynącym z dobrej wiary błędzie niedogmatycznych lewicowych demokratów w Republice Federalnej, którzy wierzą, iż intelektualny dystans wobec narodowej przeszłości zabezpiecza nas przed nawrotami zła czy*

---

[22] Helmut Schmidt (1918–2015), niemiecki polityk, członek Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), kanclerz Niemiec w latach 1974–1982.
[23] Erich Honecker (1912–1994) – niemiecki działacz komunistyczny, w latach 1971–1989 przywódca NRD.
[24] Willy Brandt (1913–1992) – niemiecki polityk socjaldemokratyczny, kanclerz RFN w latach 1969–1974.
[25] Lech Wałęsa (ur. 1943) – elektryk i działacz polityczny, współpracownik WZZ, przewodniczący NSZZ" Solidarność 1980–1981, uczestnik obrad Okrągłego Stołu. W latach 1990–1995 prezydent Polski.

– *co najmniej – daje nam duchową możność zamienienia niemieckiej prowincjonalności na światowość*. Lecz jak ma nasz kraj egzystować – pyta dalej Gaus – jeśli miara tego, co narodowe, znajduje się wyłącznie w rękach prawicy.

Idąc w ślad za Gausem, można powiedzieć jeszcze więcej: w sferę tabu spycha lewica niemiecka nie tylko próby poszukiwania historycznej tożsamości, ale i wszystko to, co – jej zdaniem – zagrozić by mogło błogosławionym skutkom powojennego rozwoju, owemu „konstytucyjnemu" prozachodniemu konsensusowi Republiki. Porównywalność faszyzmu i stalinizmu oraz prawa człowieka w ZSRR, ruch związkowy w Polsce i pojęcia *Mitteleuropa* – to pytania, których podjęcie grozi recydywą przeszłości lub co najmniej nawrotem niemieckiego prowincjonalizmu. W ten sposób kwestia praw człowieka w krajach bloku radzieckiego staje się niemal wyłączną domeną wyborczej frazeologii polityków Unii, a ideał przyszłe „wolnej Europy" hasłem przewodnim na poły folklorystycznych imprez.

W oświadczeniu Konrada Bielińskiego[26], Wiktora Kulerskiego[27] i Jana Lityńskiego[28], wydanym w przededniu wizyty Brandta w Warszawie, skrytykowano stanowisko SPD wobec polskich aspiracji i podkreślono, że opozycja polska zawsze rozumiała wagę dążeń Niemców do zjednoczenia. Z tego, co tu powiedziano, widać – jak sądzę – że trudno o fałszywiej skierowany argument. Podział kontynentu, radziecki stan posiadania na wschód od Łaby należą – zdaniem lewicy niemieckiej – do smutnych kosztów, jakie przyszło zapłacić za pierwsze demokratyczne państwo w historii Niemiec. Można, owszem, stawiać sobie za cel uzyskanie w strefie radzieckiej – drogą negocjacji – *zmiany przez zbliżenie*, można postulować *uczynienie muru berlińskiego bardziej przepuszczalnym*, jak brzmią obiegowe sformułowania przywódców SPD o polityce wschodniej. Należy, inaczej mówiąc, coś czynić, by los społeczeństw za „żelazną kurtyną" stał się znośniejszy, by nie wprowadzały one dodatkowych zagrożeń do i tak dość już skomplikowanego współczesnego świata.

Brandt musiał odmówić spotkania z Wałęsą w czasie swej ostatniej wizyty w Polsce. Cała logika realpolitycznego światopoglądu dzisiejszej lewicy domagała się tego. Europa Środkowa i Wschodnia jest przestrzenią tabu. Poruszać się w niej można tylko po czerwonych chodnikach w trakcie uroczystości powitalnych na lotniskach lub po błyszczących parkietach w trakcie dyplomatycznych rautów. Poza tą wąską przestrzenią żyją ludy tej części kontynentu. Mają one zupełnie *konwencjonalną* świadomość narodową, *naiwnie* identyfikują się z własną przeszłością. Są nieobliczalne. Mogą zburzyć cały europejski porządek. Brandt – człowiek-symbol niemieckiej

[26] Konrad Bieliński (ur. 1949) – polski matematyk, działacz opozycji demokratycznej w PRL. Współpracownik KOR, drukarz i kolporter drugiego obiegu. W stanie wojennym internowany.
[27] Wiktor Kulerski (ur. 1935) – historyk, działacz opozycji demokratycznej w PRL, współpracownik PPN i KOR, uczestnik obrad Okrągłego Stołu 1989.
[28] Jan Lityński (ur. 1946) – matematyk, uczestnik protestów w Marcu 1968, działacz opozycji demokratycznej w PRL. Współpracownik KOR od 1976, w 1980 doradca „Solidarności", uczestnik obrad Okrągłego Stołu 1989.

socjaldemokracji – obawiał się, że podając rękę Wałęsie – przywódcy polskich robotników – mógłby nieopatrznie wyzwolić te tajemnicze, niszczycielskie siły.

W grudniu 1985 r. należało – jak to uczynili warszawscy przywódcy – zwrócić się publicznie do Brandta. Postawiło to eks-kanclerza w kłopotliwej sytuacji. Ale następnym razem powiedzmy doń inaczej. Przypomnijmy mu, że jest dziedzicem partii Liebknechtów, przyjaciół Polski, że ochoczo przezeń przywoływane tradycyjne ideały lewicy zmieniają się w faryzejską retorykę, gdy dzieli się robotników na „słuszniejszych" /np. w RPA/ i „mniej słusznych" /np. w PRL/, przypomnijmy mu, jak na emigracji w dobie hitlerowskiej irytowali, o czym pisze w pamiętnikach, zagraniczni przyjaciele polityczni, którzy *chętniej rozprawiali o imperializmie brytyjskim w Indiach i skandalicznym traktowaniu kolorowych w USA, niż o całkiem bliskiej groźbie nazistowskiej.*

Socjaldemokracji często mówią o *szczególnej odpowiedzialności* Niemiec wobec wschodnich sąsiadów, odpowiedzialności będącej wynikiem ostatniej wojny. Uczynili też wiele, by zmienić fatalny bieg polsko-niemieckiej historii i odrobić te szkody, które odrobić się dały. Ale są obłudni, gdy twierdząc, iż Niemcy nie mają prawa rozsądzać polskich sporów, traktują ową *niemiecką odpowiedzialność* jako alibi dla obojętności na polski dramat, obojętności, którą nazywają *ideologiczną nieinterwencją.*

Zresztą nad Wisłą, jako najtrwalszy i do dziś aktualny skutek wojny, odczuwany jest brak podmiotowości społecznej i rażący anachronizm stosunków. Realsocjalizm odczuwany jest także jako fragment „szczególnej odpowiedzialności" Niemiec. Przywódcy SPD nie chcą tego dostrzegać. Również w tym wyraża się obłuda ich dzisiejszej realpolityki polskiej.

Powyższe wywody nie są kolejną wersją „żalów Polaków na Zachód". Chodziło raczej o to, by zasygnalizować, że niekiedy te same słowa jak „wolność" czy „Europa" nabierają nad Renem innych odcieni znaczeniowych niż nad Wisłą. Że musimy wsłuchiwać się w dzisiejsze niemieckie debaty o przeszłości i miejscu Niemiec w Europie, jeśli chcemy mieć wpływ na stosunek tamtejszej opinii do sprawy polskiej, jeśli chcemy, by nas tam rozumiano. Że o Niemcach i do Niemców winniśmy mówić bez pośpiesznych potępień, ale i bez niewczesnych deklaracji. Bo przecież w tym sensie także i od nas zależy polsko-niemiecka przyszłość.